Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 21. Poznań dnia 20. Sierpnia. 1838.

Literatura zagraniczna.

Nowsze powieści morskie angielskie i francuzkie.

Ardent Troughton; — The old commodore; Maryata i „les trois pirates" par Corbiere.

Od niejakiego czasu litteratura morska się wznosi i co raz nowym produktem litteracki świat obdarza. Od chwili, w któréj romanse kapitana Maryata tłómaczone powszechnie się podobały, zaczęło się współubieganie autorów francuzkich z angielskimi, i to powoduje nas do porównania dzieł Maryata z dziełami francuzkich morskich pisarzy, aby okazać, jak życie morskie, z dwóch stron kanału la Manche, różnie pojmowane i wystawiane bywa. Wyjąwszy miejsce sceny, która zawsze jest okrętem i zdarzenia na morzu, które albo są bitwą, albo rozbiciem okrętu, albo burzą i t. d. żeglarz angielski w powieściach morskich w niczem francuzkiemu nie jest podobien.

Czytelnik przypomni sobie piękne i oryginalne obrazy w Pilocie Coopera, najpierwszym i najlepszym z romansów morskich. Jakże wielka różnica, między tym tak cudnym utworem, a między straszliwemi okropnościami Panów E. Sue, Corbiera i innych. W życiu tem morskiem tak oryginalnem, którego najgłówniejsze zarysy i poetyczność wybornie oddał Cooper, francuzcy pisarze znajdują tylko zbiór gwałtownych namiętności i uniesień, wyuzdane żądze, niewyczerpane źródło zabójstw, obelg i krwi rozlewu. Podobnie i w *Trois pirates*, jak i w dawniejszych romansach Corbiera, znajdziemy tylko okropności i przesadę. Trzéj piraci, głównie działające osoby, są to ludzie, którzy różnemi drogami doszli do zbrodni: jeden z nich jest człowiek nieoświecony, który nigdy swych żądz poskramiać nieumie; drugi odebrał był wprawdzie wychowanie, które mu w towarzystwie ludzkiem, dość wysoki stopień nadawało; lecz słabość charakteru uczyniła go ofiarą niegodziwych wpływów: upadł, a raz upadłszy, niemiał mocy zejścia z złéj drogi. Trzeci czyni złe z własnéj woli i przekonania. Oburzenie przeciwko społeczeństwu ludzkiemu powodowało go do tego; zimno i rozmyślnie deptał prawa, o których świętości był przekonany, dla tego tylko, że sądził, iż przez to dola jego się polepszy. Z resztą są to niegodziwcy, podobni do Flibustynów, korsarzy i zbójców morskich; całe ich życie jest pasmem zbrodni, umierają śmiercią gwałtowną, a czytelnik nie jest zadowolniony, i nie znajduje rozwiniętéj téj idei filozoficznéj, którą autor w przedmowie rozwinąć przyobiecał. Słowem romans ten żadnego miłego wrażenia na czytelniku uczynić niemoże.

Wcale w innym rodzaju jest romans Ardent Troughton, choć może za bardzo jest przepełniony romantycznemi intrygami i za bardzo zawikłany. Najbardziéj zajmuje ta powieść, aż do chwili rozbicia się okrętu; miejsca te są pełne uroku. Autor oddał namiętność najdelikatniejszemi i najmocniejszemi wyrazy. Tylko koniec nie odpowiada życzeniom wykształconego czytelnika, zawiele jest tam zgromadzonych zdarzeń, najmniéj do prawdy niepodobnych. Autor naraża bohatera romansu na kilkakrotne rozbicie okrętu; co więcéj, zaprowadza go nawet na bezludną wyspę, jakoby nowego Robinsona. W końcu powieści widać, jak często, chcąc koniecznie w coraz nowych stósunkach, położeniach i świetle wystawić jeden i ten sam przedmiot, nie wie już nawet, co z nim nareszcie uczynić. Prawda, że ocean jest obszerny, ale okręt jest mały, a życie żeglarza zawsze jednostajne. Pisarze romansów morskich powinniby już opuścić to pole, jeżeli niechcą, aby publiczność czytająca ich opuściła.

Stary Commodore (the old commodore) jest równie jak Troughton pięknie napisany, lecz i on ma swe wady; można zarzucić autorowi niejakie zaniedbanie w stylu, i pospiech widoczny w całem dziele. Lecz tyle jest piękności w téj powieści, tyle czarujących miejsc, tyle naiwności, humorystyczności i ory-

ginalności, tak jasno rzucone są zarysy do wzniosłego obrazu życia morskiego, że chętnie przebaczamy małe uchybienia. Z romansu tego przekonaliśmy się, że kapitan Maryat jest najbardziéj utalentowanym uczniem szkoły Coopera, w naturalności zaś i lekkości jeszcze go przewyższa. *(Revue critique par Cherbuliez. 1838.)*

Literatura krajowa.

Poezya.

Manfred Bayrona.

Wyjątek z 1go aktu — Manfred pada bez zmysłów, śpiew tylko nad nim słychać następujący:

Gdy księżyc w cichéj odbije się fali,
Świecący robak w pośród traw zabłyśnie;
Gdy się meteor nad grobem zapali,
I z stęchłych bagnisk drzący ognik tryśnie;
Gdy gwiazdy zaczną od niebios odpadać,
I sowa sowie hukiem odpowiadać;
Gdy wszystko głuchą pokryje się nocą,
Żaden się listek w cieniu gór nie wzruszy:
Wówczas ja z moim i znakiem i mocą
Będę na twéj ciężył duszy.

Choćbyś w najgłębszym nawet śnie spoczywał,
Próżno go będziesz dla duszy twéj wzywał:
Są cienie, co się rozproszyć nie dadzą,
Są myśli żadną nieodparte władzą,
Ciągle i straszna i nieznana siła,
Będzie ci twoję samotność kłóciła;
Jesteś jak czechłem śmierci obwinięty,
Jesteś jak w czarnym obłoku zamknięty,
I nic cię z tego zaklętego koła
Nigdy już wydrzeć nie zdoła.

Kiedy przed oczy przepłynę twojemi,
Choć mię nie ujrzysz, poczujesz mię niemi
Jako istotę dziwnego zjawiska,
Co niewidzialna, przecież ciebie blizka;
A gdy tak mrozem trwogi zadrzysz cały,
Zwolna za siebie zwrócisz oko twoje,
Dziwić się będziesz, nie pojmiesz zdumiały,
Zkąd ja za tobą jak cień twój nie stoję;
A to, co ciebie takim dreszczem wzruszy,
Z twojéj tylko przyjdzie duszy.

Okropne słowa tajemniczéj siły
Straszną, wieczystą klątwą cię ochrzciły;
Jest duch w powietrzu, co cię pęty swemi
Schwycił, osidlił i skrępował niemi;
Będziesz głos słyszał w pośród wiatrów wycia,
Który ci zmiesza wszelką rozkosz życia;
Noc na to swoim cieniem cię omroczy,
By ciągle widma stawiać ci przed oczy,
A dzień ci będzie wydawał się wieczny,
Tak cię zdręczy blask słoneczny.

Z fałszu łez twoich wysączyłem jady,
Z własnością silnéj i szybkiéj zagłady,
Wziąłem krew w sercu czerniącą się twojém,
Tam gdzie najbrzydszym przetacza się zdrojem;
Z uśmiechu twego wyłowiłem żmiję,
Co się w nim jakby w pośród wrzosów wije;
Usta me z ust twych taki jad wypiły,
Który tym wszystkim jadom dodał siły,
Wziąłem, zbadałem trucizn szereg cały,
Żadne twojéj nie zrównały.

Przez te bezdenne zdrad twoich głębiny,
Przez ten lód serca i uśmiech gadziny,
Przez te kłamane okiem twojém cnoty,
Przez wszystkie duszy twéj falsze, sromoty,
Przez zbrodnie w pozor ludzkości przybrane,
Przez to tak sztuczne, dokładne oszczerstwo,
Przez te rozkosze z cudzych mąk wyssane,
Przez to okropne z Kainem braterstwo
Wzywam, zarzekam i potępiam ciebie,
Zostań sam pieklem dla siebie.

I na twą głowę wylewam tę czarę,
Co na tę straszną poświęca cię karę;
Nigdy się końca mąk twych nie dowołasz,
Nie zdołasz zasnąć, ni umrzeć nie zdołasz.
A gdy już będziesz mniemał się przy kresie,
Śmierć ci nie ulgę, lecz postrach przyniesie.
Ha! klątwa działa — już się ciebie chwyta,
Już bezdźwięcznemi krępuje cię pęty,
Cała twa istność tą klątwą przeszyta.
Giń więc i więdnij przeklęty!

M.

Wielu historyków bardzo mylnie pojmuje rząd za panowania Piastów.

(Dokończenie.)

Po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego zebrał się wiec na obranie księcia i biskup krakowski Pełka przeparł, że Leszek Biały został uznany. Na samym wiecu Pełka utrzymywał, że niechodzi wcale o wybor, ale tylko o przyznanie następstwa; mówił, że potomkowie Kazimierza są już właścicielami władzy, ale że ich obrać trzeba — że choćby byli w kolebce, odziedziczają królestwo z prawa przyrodzonego, bo tak postanowili i cesarz i papież. Zgoła ksiądz biskup Pełka mięszał wyobrażenia, wcale się nieumiał wypleść, prawił aż od rzeczy, lubo go chwali Kadłubek. Jasno zaś mówił nienazwany obywatel, co się z biskupem sprzeczał, bo nie dla względów politycznych, ale na zasadzie dawnych praw żądał wyboru, nie wierzył w zmyśloną dziedziczność; bez wykrętów dopominał się staréj narodowéj rzeczy. Mikołaj, brat biskupa, wymógł po raz pierwszy przysięgę wierności dla książęcia, co jednak na później niezostało zwyczajem. Atoli ten sam wojewoda zło-

żył najpiękniejszy dowod, że dziedzictwo i następstwo tronu niemają silnych korzeni, bo dla nieprzyjaźni z Gaworkiem, odsadził od rządów Leszka, dla którego przysięgę wymógł, a Mieczysława starego i późniéj znowu Laskonogiego przyzwał. Prócz wieców mieli Piastowie na ograniczenie władzy, i wojewodów. Jak wielkie było znaczenie tych panów, poznać to jeszcze z Sieciecha, Wszebora, Skarbimira. Pakosław, wojewoda sandomirski, był pośrednikiem między Jędrzejem, królem węgierskim, bojarami halickimi, miastem Haliczem, Kniaziem Danielem i Leszkiem Białym. Po śmierci tegoż książęcia Marek, wojewoda krakowski i Pakosław oddali władzę Henrykowi Brodatemu. Przemysław i Łokietek, którzy usiłowali Polskę napowrót zespólić i sobie tytuł królewski utwierdzić, czynili zabiegi i układy z prałatami i baronami. Wiadomo, bo to rzeczy świeższe, jak Wacław król Czeski, Henryk Głogowski, Bolesław Polski, przerywali krótkiemi panowaniami rządy Łokietka, a to każdy za wpływem swoich przyjacioł między prałatami i baronami. Ci, którzy bronią zupełnego dziedzictwa z całą konsekwencyą następstw, starszeństw, władzy nieograniczonéj, bezwzględnego posłuszeństwa i t. d. za czasów przedjagielońskich, odwołują się powszechnie na żelazne berło Kazimierza Wielkiego. My o tem berle nic nie wiemy; musieli je przed nami właśnie przekryć historycy. Że Kazimierz surowe wydawał wyroki, toć prawo było surowe; że duchownych ostro trzymał, toć właśnie na korzyść rycerstwa. Jeżeli Kazimierz tak niezawiśle rządził, po cóż przed szlachtą tak czapkuje w statucie wiślickim? Ileż to tam razy stoi: »zdawało się nam i baronom naszym; my i wojsko mniemamy, my i szlachta zgodziliśmy się« i mnóstwo podobnych rzeczy. Czemuż Kazimierz bez zjazdu niewyznaczył sobie następcy? Sam przywiléj koszycki pokazuje dobitnie, że szlachta nie byli już uczniami w ograniczaniu rządców, ale że mieli zatwardziałą, starą, aż siwą politykę narodową. Śmieszni to badacze, co od Ludwika Węgierskiego złamanie dziedzictwa, elekcye, sejmy datują i to wszystko razem przeklinają. Jużmy im ręczemy, że nawet oni nie byliby nic zmienili; że i przy nich byłby szedł czas swoim strumieniem. Polska rozwijała się od swego pierwotnego lechickiego kiełka aż do ostatnich czasów po drodze w jednym i dobrym, bo w swoim przyrodzonym kierunku. Nigdy w niéj nie było składu rządów zachodnich: rodzina Piastów niejako przedawnieniem zyskała pierwszeństwo, ale narod zostawił sobie wolny wybór pomiędzy jéj członkami. Wybór ten z wojewodami, prałatami, baronami, odegrał na ów czas właściwą i z celami ludzkości najzgodniejszą rolę. Każda przeszłość w przyszłości swoje miejsce i swoją liczbę znajdzie. Nic się w życiu ludów na próżno nie stało.

Ję. M.

Jakie były pierwiastki na rząd za dynastyi Piastów.

Lechia przy odznaczaniu się w słowiańszczyznie, czyli przy swojem powstaniu albo zawiązaniu się w oddzielny, wyłączny system społeczeństwa, dwa główne staro słowiańskie rozwijała instytucye, to jest wiece, jako reprezentacyą czyli władzę prawodawczą, i urząd króla, to jest dowództwo nad wojskiem, które samą swoją siłą ukształcało się we władzę wykonawczą. Mieczysław I. zostawszy chrześcianinem, głównie podkopał dawną narodowość, głównie poszedł w ślad zachodniéj Europy, i dla tego musiał zostać lennikiem cesarzów niemieckich. Bolesław Wielki wystąpił jak jaki jenialny filozof, który dwa potężne systema poprzedników zastaje w sprzeczności i na nich swój nowy olbrzymi system budować myśli. Założył on sobie utrzymać dawną narodowość z rządem niezawisłym, udzielnym, a otworem trzymać zarazem wrota do Polski całéj oświacie zachodniéj Europy. W krótkim czasie ustalił swoje panowanie między Odrą a Dnieprem: pomiędzy swemi miał się za wodza, starszego rycerza; pomiędzy obcemi głosił się potężnym monarchą, cesarzowi niemieckiemu równym. Jak cały naród nie potrwał w lenności przez Mieczysława przyjętéj, tak też cała zasada lenności nie wniknęła w naród lechicki. Obcą u brzegów Wisły została myśl zachodnia, aby pod panującym najwyższym stał panujący niższy i aby się to ciągnęło stopniowaniem, aż do parobka gospodarza na jednéj płusie. Węzeł narodu układał się przez bratanie się starszych z różnych pokoleń, a nie przez stopniowe układanie rządców. Co Polska trzymała załogami po obronnych miastach, to rzadko nad rok przetrzymała w swéj mocy; wszystko zaś w jéj wnikało istotę, co się wiązało przejęciem od niéj praw i obyczajów. Nie siła wojenna, ale braterskość pokoleń i w pokoleniach braterskość indywidualna stanowiły spoistość narodu. Instytucye, które Bolesław Wielki zaprowadził, były rozwinięciem czystego słowiańskiego pierwiastku, dla tego to tyle nadały narodowi mocy, dla tego pół Europy objęły. Po śmierci jego znowu się Polska kołatała to o ścianę chrześciańską zachodniéj Europy, a przestała się mię-

dzy obiema rozpierać. Za Ryxy chcieli biskupi cudzoziemcy i niektórzy rycerze krajowi prowadzić naród w jego składzie porówno ze zachodem na zasadzie lennéj w ścisłym majestatycznym monarchizmie; ale ogół uznał ich za stronników cudzéj sprawy, popieraczów hołdownictwa dla cesarzy i za nieprzyjaciół i zdrajców kraju.

Kiedy Polska weszła w szereg chrześciański, już w Europie tliły się religijne zatargi: różnica obrzędów, obowiązki duchowieństwa, nareszcie język liturgiczny, którym Rzym chciał mieć koniecznie łaciński, były ciągłym powodem kłótni i choć bez wyraźnego rozdziału, stanowiły już kościół zachodni i wschodni. Do Polski weszła, a przynajmniéj ustaliła się wiara z zachodu, do pokoleń zaś słowiańskich wschodnich, które w X. wieku zawiązały się w Ruś, weszła ze wschodu. Zatargi rozstrzelone z Rzymu i Konstantynopola stykały się w słowiańszczyznie na Polsce i Rusi. Ztąd o Polskę uderzała lenność od zachodu, a rozdział kościoła uderzał od wschodu, ztąd w XI. wieku najgłówniejsze wojny z Niemcami, Rusią, ztąd bohatyrstwo trzech pierwszych Bolesławów, ztąd silniejsza, bo ciągle wojenna ich władza nad narodem. Stała tedy Polska w środku, aby zachód ze wschodem przez nią się łączył, aby była igrzyskiem burzy, które z dwóch stron zetrzeć się mogły, aby Europa dała się w sobie trawić Azyi, a Azya niewylała powtórnych potoków w ludach, aby szło wszystko tym biegiem, którym idzie, którym iść musi. Im bardziéj w XI. wieku uchwalano i rozpoczynano zagładę Polski, tem większe otwierano jéj pole do zwycięztw, poszanowania w rzędzie narodów i zhartowania charakteru narodowego, w którym samym życie lub śmierć społeczeństw politycznych. Przez wojny z Niemcami i Rusią w pośród braterskich Lachów musiał się usposobić stan rycerski, stan panów, który do wszystkiego prawa w pochwie przy boku nosił. Rycerz naprzód z jeńca wojennego, a potem z każdego bezbronnego robił sobie niewolnika. Im ciemniejsze było rycerstwo, tem mniéj się pytało o zasady wiary i człowieczeństwa. Rycerz, który mógł żyć tylko wojną, musiał być nieprzyjacielem księdza, który może się odzywać tylko w pokoju i ztąd musi nienawidzieć wojny. Intelektualność, rozum, myśl narodu, lub jak to tam nazwiemy, polegało w samem tylko duchowieństwie; siła zaś w samem tylko rycerstwie. Otóż tedy mamy prałatów i baronów, kłócą się z sobą, ale też i w zgodzie znowu rządzą, królów obierają, losami mass ciemnych i bezbronnych w swoim interesie kierują. Król musi się tylko ich robotom przypatrywać, a wtedy dopiero może i potrafi nakazać milczenie, kiedy w szeregu na koniu postawi rycerstwo, a duchowieństwu pogrozi tysiącami, które usłuchają rozkazu. Ponieważ zaś między Piastami wielu było niewojowników, przeto też pełno się znalazło i rządców bez cienia władzy. Kiedy Polska już się zupełnie zjednoczyła z chrześciaństwem, w całéj Europie niechrześcianie tylko przy granicach byli Polski, a zatem Polski zostało udziałem nosić katechizm z mieczem w ręku, nad dolną Odrę i Wisłę, za Narew ku Niemnowi, między Pomorczyków, Prusaków, Jadźwingów, Litwinów; ztąd duchowieństwo i rycerstwo Lechii ważną miały w ludzkości missyą, a przez to powagę i władzę. W zachodnich krajach na przełamanie władzy duchowieństwa i rycerstwa wznosiły się miasta już to szczęśliwem położeniem, że z jednego końca Europy przesyłały na drugi towary, już też, że jako stolice markgrafów i panujących, którzy z wielu krajów lennych ściągali ku sobie ludność, przemysł, kapitały. W Polsce pozostały kasztelami starożytne grodziska, lepiły się domy przy katedrach biskupich i klasztorach; ale nieprzerzynały się tak z krajów do krajów drogi, ani niegnieździły władze rządowe i wojenne, aby wiele znakomitych miast powstać mogło. Niemiał się więc kto opierać duchownym i rycerzom, niemiał i król w kim znaleźć przeciw tymże sprzymierzeńców. Wiek XII. wyciągnął Polskę ze znaczenia politycznego, jakie miała w poprzednim. Wpływ duchowieństwa od czasów Grzegorza VII. i S Stanisława znacznie podniesiony, szukający pokoju, i potrzeba prawa, były przyczyną, że Polska poszła na podział, że się w sobie burzyła, ale organizowała.

Długo niemyślili Polacy o własności gruntowéj. Ruchomości miał każdy swoje, ale pastwiska, roli, lasu, dzikiego zwierza, barci po sosnach, wystarczało tak dla wszystkich, że to wszystko było bez pana, czyli wspólne. Wiek XII. zapotrzebował oznaczenia ścisłego. Małe dla wszelkiéj władzy było wtedy posłuszeństwo, aleć tego jeszcze najwięcéj słuchano, koło którego zbierało się najwięcéj zbrojnych: było więc rzeczą naturalną, że naczelnik rycerstwa czyli panujący ze wspólnéj wszystkim ziemi, odmierzał dla każdego przestrzeń i zapewniał pismiennie, że niepozwoli, aby ją kto inny sobie przywłaszczał. W tym to celu są te przywileje wieczyste, czyli nadania prawa dziedzicznego. Dla braterskiéj równości, nienawiści ku lennictwu, panujący rzadko śmiał żądać, aby zyskujący prawo dziedzictwa obowięzywał się do danin, hołdów lub jakichkolwiek służebności, ztąd

przywiléj dziedzictwa czynił dziedzica w dobrach jego prawodawcą, sędzią, władzą wojskową; dziedzic mógł budować obronne zamki, nakładać podatki, rozdawać przywileje innym. Tym sposobem Lechia wykształciła się w republikę złożoną z małych monarchów, ale nielennych, lecz sprzymierzonych, którzy sobie jednego obierali na starszego, to jest króla. Między tymi monarszątkami utrzymała się braterskość słowiańska, a najlepiéj stwierdza ten stósunek wyrażenie panowie bracia i tytułowanie (aż do Batorego) i króla i szlachcica tylko: Miłościwy Panie. Już tedy rycerze z prawami dziedzictwa, obróceni bardziéj na zarobek z pługa, jak na zarobek z miecza byli nad wszystkimi wszystkiem i do wszystkiego, a zwali się szlachtą. Szlachty była liczba wielka z sercem do boju i bój się zawsze nadarzał o cywilizacyą, o chrześciaństwo, o wolność Europy. W XIII. wieku wysypała się dzicz tatarska, opanowała wschodnią słowiańszczyznę i dopiero na Polsce złamała swą potęgę. Jeszcze mało znaczne powtarzały się zagony tatarskie, kiedy Turcy zagrozili cywilizacyi, a ztąd szlachta biła się i rosła ciągle w znaczenie i u swoich i u obcych; ale to leży już za granicą epoki Piastów, któréj pierwiastek rządu chcieliśmy wskazać krociuteńkim rzutem oka.

Ję. M.

O pieśniach ludu litewskiego.

(Wyjątek ze wstępu do dzieła przygotowanego do druku p. t. »Pieśni ludu litewskiego.«)

(Z Tygodnika Petersburskiego.)

.... Pieśni gminne niektóre głębokiéj sięgające starożytności, przez lud nasz teraz śpiewane, szczególniéj powinny naszę zwrócić uwagę. One bowiem dochowały nam wierny obraz obyczajów i bohaterskich spraw naszych przodków, one ich czyny w ustach następnych pokoleń uwieczniły. One, zachowane w pamięci narodowców, wszystkie wieki, wszystkie burze, złe i pomyślne dole, przetrwały. Któż ich nie zna, czyjegoż one nie kołysały dzieciństwa? któż na ich odgłos rzewnych łez nie uronił? .. Poznać zatem je bliżéj, zgłębić ich duch i charakter, jest powinnością każdego światłego, prawego Litwina.

Pierwsi wojenni nasi poprzednicy, zrodzeni tylko do konia i zbroi, mało dbali o poezyą, a może też nawet i czasu o tém myślić nie mieli. Tępić szablę na karkach dumnych wrogów, jedynem ich było rzemiosłem. Bronić ojczystą ziemię, zwyciężać, podbijać, łatwo im przychodziło; ale śpiewać mało umieli. Były jednak chwile, kiedy syci sławy, spokojnie w domach, przy rozpalonych ogniskach z czarą miodu w dłoni, oddawali się uciechom, i, rozpogodziwszy w boju zahartowane, wyniosłe czoła, z chęcią słuchali śpiewu starych kapłanów i wajdelotów. Byli to wieszczkowie i poeci Litwy. Oni zagrzewali rodaków do walki, dziękowali bogom za odniesione zwycięztwa, i przewodniczyli domowym zabawom. Lecz ich pieśni, jako utwory improwizatorów, nie będąc zapisane, w pomroce wieków zaginęły i do naszych czasów nie doszły.

Był jeszcze inny rodzaj pieśni, poświęconych istotom wyższym, — nadludzkim. Bo jeżeli Litwin bałwochwalca bił pokłony urojonym bożyszczom, palił ofiary i składał obiety; musiał też koniecznie i śpiewać ich uwielbienie. Ślady téj poezyi natrafiamy i dzisiaj pomiędzy naszem pospólstwem. P. Rhesa, w swoim zbiorze pieśni litewskich, zachował nam od zatracenia kilka tego rodzaju śpiewów. Tu należy odnieść i piosnki na cześć Dejwy Yszkałbtoy i Kukułki.

Poezye opiewające czyny znakomitych bohaterów Litwy, powiększéj części zaginęły, gdyż nowe pokolenia narodu, po utracie samobytności, po przejściu pod obce rządy, bez żadnych piśmiennych zabytków, łatwo zapomniały o swoich przodkach. Jeden tylko Kiejstut i Krzyżacy, pomimo swojéj dawności, niezatarte po sobie zostawili ślady w pamięci Litwinów. Zapytaj dzisiaj kraju naszego mieszkańca o jakikolwiek starożytności zabytek: zaraz ci skreśli dziwną, niepodobną do wiary powieść, w któréj Kiejstut najpierwszą gra rolę. Wejdź w poufałą rozmowę ze starym litewskim wieśniakiem, wspomnij mu o przeszłości; a z westchnieniem ci rzeknie »Oj nie tak to bywało, za czasów naszego Kiejstuta!« Chciéj się dowiedzieć, co w sobie ukrywa jakikolwiek kurhan; — »ciała Litwinów, albo ciała olbrzymów poległych w Litwie przeciw psom Krzyżakom,« odpowie. Podania o ludziach nadzwyczajnéj urody i siły, jeszcze i dziś gdzie niegdzie krążą — ale pieśni o nich żadnéj nie ma. Dziwne, cudne, o tych olbrzymach w Litwie opowiadają rzeczy. Mieliż to być ludzie tak nadzwyczajni? Mnie się zdaje, że sama ich tylko waleczność stała się powodem do tych poetycznych opisów, chociaż nie rzadko i dzisiaj u nas napotkać się wydarza mężów olbrzymiego wzrostu, którzy zdaje się, iż poglądając na dęby domowych lasów, zapatrzyli się na ich postacie, i podług tych królów gajowych ukształcili swoje wyrosłe, barczyste ciała. O nich to jeden z naszych dzisiejszych wajdelotów powiedział:

»Wzrost jak dębu wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię!
W ręku sztabę rozłamie.»

Najście Szwedów pod dowództwem mężnego Karola XIIgo, również pamiętnym jest wypadkiem w dziejach Litwy. Usypane szańce na polach Żmudzi, długo w najpóźniejszych wiekach będą treścią narodowych powieści i śpiewów gminu.

(Dokończenie nastąpi.)

Wstępne myśli o pojęciu poezyi.

Poezya jestto przymiot natury, robiący na nas jakiekolwiek wrażenie. Tę przymiotową stronę wszechrzeczy nazwę: poezyą naturą. Jest to księga otwarta dla wszystkich, co mają serce: czyta się w niéj zmysłami, zmysły, nabyte wrażenie przesyłają sercu, przez działanie tych wrażeń na serce, oddziaływają się uczucia, — uczucia muszą być odpowiednie naturze, bo przez wrażenia od niéj odebrane powstały. Te uczucia są sympatyą natury z sercem. Uczuwszy tę sympatyą, chcemy odpowiedzieć naturze równemi jéj kształtami, to jest: chcemy się wywnętrzyć, aby kto inny z kształtów przez nas utworzonych odbierał wrażenia. Temi kształtami są kunszta. Natchnienie niczém innem nie jest, jak tylko poczuciem sympatyi człowieka z naturą; z niéj się zaraz wyradza chęć objawienia natury, nie przez wytłumaczenie jak matematyk lub chemik, lecz przez naśladowanie jéj na papierze, na płótnie, na stronach, na kamieniu, na swojéj własnéj postaci.

Mówiono, że siedliskiem poezyi jest natura i serce, a ja powiadam, że tylko sama natura — z niéj przechodzą wrażenia do serca i tam się gromadzą. Bo serce jest jako ognisko zwierciadła, gdzie wszystkie skupiają się promienie, aby odstrzeliwszy, większym zajaśnieć blaskiem; gdyby się więc w sercu nie zbierały zewnętrzne wrażenia, nie moglibyśmy nie czuć, bylibyśmy jak rośliny, które mają życie tylko wewnętrzne i zupełnie fizyczne.

I serce drugich jest dla nas naturą samą — my się w nie jak w naturę wczytujemy, odbieramy wrażenia jak od natury i naśladujemy je, jak naturę. Ztąd udział w uczuciach innych osób, ztąd wpływ jednych na drugich, naostatek naśladowanie innych, to jest: przejmowanie się ich cnotami lub występkami.

Że jednak nie wszyscy w równym stopniu sympatyzujemy z naturą, albo: zmysły nasze drażliwe lub słabe, delikatne lub surowe, inaczéj poglądając po za siebie, inaczéj wrażenia do serca ponoszą; czujem więc częstokroć tam poezyą, gdzie dla innego jéj nie ma; albo zmysłami naszemi z innéj strony uważając naturę, zupełnie inne przyjmujemy wrażenia. I dla tego jeden obojętnie przysłuchuje się burzy, jak szumi wichrem, bije deszczem, przyświeca błyskawicami i piorunami przygrywa; drugiemu się ona wydaje uroczystą, innemu straszną. Dla tego jeden w czarnych kolorach widzi serce ludzkie, kiedy drugi szydzi z dolegliwości i bólów, a inny nawet i rozkoszy w niem chce szukać. Tamten widzi okropność — ten ironią — a ten jeszcze piękności ugląda. A przecież wszyscy trzéj poetycznie czują, tylko ich zmysły innostronnie poglądają na naturę, lub stępione już, albo jeszcze zbyt świeże, inne chwytają wrażenia. Żaden z nich jednak nie jest fałszerzem, i gdyby to wymalować, wygrać, wypisać, co czują; byłoby to poezyą żywcem z natury wziętą — byłoby samą naturą.

Poezya-kunszt jest wyobrazicielką poezyi-natury; ale jak poeta przysłuchując się burzy nie daje na to uwagi, że ten piorun, jest to zwyczajna iskra elektryczna, że ten deszcz, jest ta sama woda, co przed nim w szklance stoi; tak patrząc na obraz téj burzy ręką kunsztmistrza oddany, nie widzi się ani farb, ani płótna; tak słuchając muzyki, co tę burzę odgrywa, nie widzi się grającego, nót i instrumentu; tylko chwyta się całą harmonią, która jeśli naturalna, zrobi na nas wrażenie podobne wrażeniom od natury doznanym; tak czytając opis podobny, zapomina się wyrazów i książki, a wyobraźnia nas postawi pod natłokiem takich wrażeń, jakich sam pisarz doznawał. Dla czego patrząc na gruppę Laokoona, czujemy całą boleść tego ojca, dla czego widząc skaczącego chłopca, poznajemy, że radość tych skoków przyczyną I to jest właśnie największa zaleta kunsztu: wierność, czyli naturalność.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd i Krytyka.

PAMIĘTNIK NAUKOWY KRAKOWSKI Nr. 8.

(Dokończenie.)

Drugim ważnym artykułem tego Pamiętnika są dwie rozprawy o Gwiazdach i Kamieniach spadających przez J. K. S. i A. B.

Pierwsza zawiera po większéj części, myśli w téj mierze sławnego Olbersa. Zaczyna się od pospolitego u gminu mniemania, jakoby się gwiazdy czyściły, które to zdanie znachodzona po wilgotnych łąkach pewna massa galaretowa potwierdzać się zdaje. Autor pokazuje, że ta massa należy pospolicie do królestwa roślinnego, przez wilgoć i deszcze

do znacznéj objętości wzrosła; a nawet z żab a osobliwie ślimaków w miejscach wilgotnych po śmierci z naciągnionéj wilgoci podobne massy tworzyć się mogą. *)

Pozorna wielkość gwiazd spadających jest bardzo różna; w niektórych można rozpoznać kształt kulisty, a takie bardzo są podobne do tak nazwanych kul ognistych, tak że między wielkiemi gwiazdami spadającemi, a kulami ognistemi żadnéj granicy naznaczyć nie można, bo tak pierwsze jak i drugie mają też samę wysokość, chyżość, światło i zostawują po sobie zupełnie podobne ślady. To jest ślad białawego światła, co ogonami ich nazywamy, niknący najczęściéj w kilku sekundach, tylko po wielkich kulach ognistych kilka minut pozostający.

Dawni fizycy zjawiska te mieli za tłuste, olejne lub siarczane wyziewy w naszéj atmosferze unoszące się, które nieznanym sposobem zapalone, przedstawiają gwiazdę spadającą; późniejsi przypisywali je gazowi wodnemu, zbierającemu się dla swéj lekkości w najwyższych warstwach atmosfery.

Dopiero sławny Chladni dowiódł, że meteory te nie w naszéj się atmosferze tworzą; lecz że to są massy odbywające swój bieg podobny do biegu planet, a skoro w biegu swoim około słońca w atmosferę naszę wpadają, zapalają się i świecą, albo pękając, posyłają nam żelazo, kamienie i niekiedy i inne materye, zwłaszcza gdy się późniéj przekonano, że pokazanie się kul ognistych zwykle towarzyszy spadaniu na ziemię kamieni, których skład jest taki, jakiego na ziemi nigdzie nie napotykamy.

Że właściwe kule ogniste z znacznéj wysokości spadają, wiedziano o tém już dawno; lecz że i gwiazdy spadające również w odległych okolicach się tworzą, wniesiono ztąd, że Brydone i Saussure, pierwszy na wierzchołku Etny, a drugi na Montblanc, te meteory w równéj pozornéj wysokości widzieli, jak na dole. Dopiero Brandes i Benzenberg obserwując pilnie gwiazdy spadające, ujęli pod matematyczną rachubę ich biegi, i przekonali się, że wszystkie większe spadające gwiazdy były w wysokości od 5 do 30 i więcéj mil, a zatém, że nie należą do utworów atmosfery naszéj.

Tymczasem jednak Olbers i Brandes postrzegłszy, że małe gwiazdy spadające biegły z niezmierną chyżością, większe zaś, biegiem wolnym, że pierwsze miały światło migocące i zawsze prosto spadały, drugie były do światła planet podobne; wnieśli ztąd, że między gwiazdami spadającemi są takie, które są iskrami elektrycznemi, albolitéż tworzą się przez zapalenie w atmosferze naszéj gazów i wyziewów palnych. Trudno tylko wytłómaczyć, jakim sposobem wyziewy metaliczne w tak znacznéj wysokości, gdzie powietrze jest nadzwyczajnie rzadkie, unosić się i jak w tak wielkie massy niepojętym sposobem nagle skupiać się mogą.

Przekonawszy się, że kule ogniste i podobne im gwiazdy spadające nie są utworami naszéj atmosfery, ale mają początek kosmiczny i do niéj tylko wpadają, zapytamy się teraz: zkądże się biorą? Przed niewielu laty pytanie to było łatwe do rozwiązania. Najsławniejsi bowiem uczeni dowodzili, że wazal naszego planety, po prostu księżyc, tak jest zuchwałym i niedyskretnym, iż zamiast powinnéj uległości ziemi, jako swéj wielowładnéj pani, buntuje się przeciw prawéj monarchini i kamieniami na nią rzuca; ta zaś w krytycznem prawdziwie znajduje się położeniu, bo na tę kanonadę odpowiedzieć nie mogąc, cierpliwie jego zuchwalstwo i takie ogniste wyrzuty znosić musi, ponieważ jéj artylerya nie ma tak mocnego kalibru, żeby zuchwałego buntownika dosiądź mogła. Jakoż księżyc będąc małém ciałem, niemającém żadnéj albo rzadką tylko atmosferę, żadnego prawie oporu niedającą ciałom w górę wyrzuconym; mając nadto powierzchnię, że tak powiem zrujnowaną, dziwnie ukształconą, mógł łatwo nasunąć myśl przez najsławniejszych fizyków skwapliwie pochwyconą, że się na nim wielkie wulkany znajdować muszą, zkąd w kierunku pionowym siłą pięć razy przewyższającą chyżość działowéj kuli wyrzucone ciała, przezwyciężają słabą attrakcyą księżyca i już się do niego więcéj nie wracają; lecz gdy Brandes przez swoje wyżéj wspomnione obserwacye dowiódł, że kule ogniste i gwiazdy spadające wpadają w naszę atmosferę z chyżością 4 do 8 mil w jednéj sekundzie, wtenczas zdanie powyższe zupełnie upadło, bo to jest chyżość daleko większa, jak gdyby z księżyca spadały.

Otóż widzimy się być zniewoleni, uważać gwiazdy spadające, przynajmniéj te, które mają chyżość planetarną i z przestrzeni świata w naszę atmosferę wpadają, za massy czyli ciałka małe, opisujące według praw powszechnego ciężenia, około słońca linie krzywe, aż dopiero wpadną w atmosferę jakiego planety, tam zapaliwszy się, albo się zupełnie niszczą, albo pod rozmaitemi kształtami spadają, albo nareszcie, jeżeli o rzeczoną atmosferę tylko zawadziły, tę gasnąc, opuszczają, i będąc posłuszne sile słońca, odbywają koło niego dalsze swoje drogi.

Liczne postrzeżenia Humbolta, Bonplanda i innych uczonych w różnych częściach świata, a osobliwie w Ameryce poczynione, pokazują, że prócz planet i komet krążą jeszcze około słońca miliony małych ciał, nierównie w przestrzeni rozłożone i których mnóstwo nadzwyczajne dosięga drogi ziemskiéj w tym czasie, gdy ziemia znajduje się w 19 do 22° Byka. Piękne widowisko, jakie przy spadaniu licznych gwiazd oko zachwyca, odnawia się corocznie w dniach od 11 do 15 Listopada. Niezliczone mnóstwo gwiazd sypiących się wtenczas na ziemię przeraziło nieraz mieszkańców, co zaś najważniejsza, że według świadectwa postrzegaczy, te tysiące gwiazd spadających i kul ognistych ciągle z jednego miejsca nieba, to jest w bliskości konstellacyi Lwa, na ziemię spadają.

Z drugiéj rozprawy o kamieniach spadających tak A. B. tłómaczy powstawanie aerolitów:

Podług autora atmosfera, to jest powietrze z ziemią spojone i z nią razem obracające się codziennie, rozciąga się najdaléj do wysokości 4 mil geograficznych; daléj zaczyna się, jak już starożytni mniemali, eter, zajmujący przestrzeń między ciałami niebieskiemi. Eter ten lubo jest bardzo małéj gęstości, wszelako cząstki jego mogą się skupiać siłą powszechnego pociągania w małe bryłki, które, jeśli w znacznéj odległości kilkuset albo tysięcy mil od znakomitych ciał niebieskich utworzone zostały, zaczynają być w ruchu, i albo spadają na nie, albo też unoszą się w przestrzeni przez wieki, powiększając się z czasem, aż w potężne bryły urosną.

Następują: Listy o stanie teraźniejszym piśmiennictwa polskiego, w których rozebrany jest najprzód Sławianin, wydany przez Stanisława Jaszowskiego T. I. Lwów 1837. Nie mając tego pisma pod ręką, przestaniemy na zdaniu o niém wydawcy Pamiętnika tym chętniéj, że je zwykle głęboka rozwaga i niepospolita znajomość rzeczy znamionuje.

»Słuszna aby pismo, zrzekające się zalet czasowości, nadstawiło czytelnikowi zalety rzeczywistsze, by nie mieściło przedmiotów dorywczych lub nijakich; a tém mniéj rozmaitych lat, klinków i przyczepek, przydatnych ku zapełnieniu próżnych stronnic, nawet i w dzienniku nieznośnych. Mógłby się kto spytać, dla czego pismo, którego część znaczniejszą zajmują: Spomnienia o Hiszpanii Michała Popiela, Podróż do Lombardyi Adama Górczyńskiego i wiersze sentymentalne powiększéj części Tomasza Aug. Olizarowskiego, mogące zawrócić głowę, lecz nie zagrzewające serca, nazwano Sławianinem? Taki ma wiedzieć, że napis książki nie zawsze jéj treść oznacza, najczęściéj jest przypadkowy, do panującéj mody zastósowany, jak towar modny à la Sontag lub à la Giraffe.«

---

*) I to nie jest jeszcze zupełnie wyjaśnione. Stwierdzone jest wielu przykładami, że takie massy galaretowe, pijankowe z nieba spadły, a nawet są przykłady, gdzie spadła gwiazda zaraz znaleziona została. Nauczyciel K. zawinął ją w chustkę, ale przyszedłszy do domu, nie znalazł nic więcéj jak plamę żółtą, mocno siarką pachnącą, massa ulotniona zniknęła. Uw. Red.

Powtóre: Rozbiór piątego aktu Józefa Korzeniowskiego, o którém później.

Potrzecie: Koliszczyzna i stepy, powieść p. Edw. Tarszę. Wilno 1838. Treść tego ważnego w literaturze polskiéj dzieła, podaliśmy czytelnikom naszym w numerach 4. i 5. Tygodnika.

Uwagi o niém wstrzymane dla zrobienia miejsca ważniejszéj o filozofii krytyce, i prawie już zarzucone, kładziemy teraz, pomijając trafne, a po większéj części z naszém zgodne zdanie Krakowskiego recenzenta.

»Koliszczyzna P. Grabowskiego, ręką mistrzowską skreślona, jest to historyczny obraz przez ogólowe tylko opowiadanie wydarzonych wypadków, jako się takowe zewnętrznie w umyśle autora przedstawiały, oddany. Jest atoli drugi sposób, że tak powiem genetyczny, gdzie wszystko, jak gdyby się dopiero istotnie działo, reprodukuje się w imaginacyi piszącego. Tworczy ten i dramatyczny sposób daleko większe czyni na umyśle wrażenie, ponieważ najwięcéj sprzyja rozwinięciu się charakterów, bez których nie masz życia w żadnéj powieści.

Jeżeli nam się godzi wynurzyć zdanie o powieści, z taką prawdą, z taką mocą i wyraźną fizyonomią skreślonéj; wyznajemy, żeśmy bardziéj podziwiali talent autora w tym pierwszym opisowo-historycznym rodzaju. Zręcznie on ożenił, że tak rzekę, zdarzenia historyczne z klimatem ukraińskim i utworzył, co sobie zamierzył, dwa rembrantowskie obrazy: rzeź i stepy.

Mógłby tu kto uczynić zarzut, że inni autorowie opisujący także w podobnym sposobie Ukrainę, mają więcéj blasku, więcéj rozmaitości, wystawiając nam dwojakie życie kozackie, jużto po słobodach i futorach, jużto odosobnionych po kureniach w siczy mołodzców. Prawda, że ten kontrast bawi fantazyą, lecz czy jéj też często nie łudzi?

Pana Grabowskiego obrazy są to wierne, na miejscu zdejmowane rysy: a zdaje mi się, że jak w malarskich tak i poetycznych obrazach, prawda i trafność najpierwszą być powinny zaletą. Jak dla malarza największym jest tryumfem, kiedy mu się uda tak wiernie oddać rysy fizyonomii osoby lub okolicy, iż ta na pierwszy rzut oka odżyje i niejako odrodzi się w wyobraźni każdego widza; tak podobnie największą sztuką autora, kiedy w swym poetyczym obrazie zdoła aż do złudzenia schwycić wszystkie szczegóły od ludzi pospolitych niedostrzeżone i wystawić obraz jak najpodobniejszy do prawdy. A jak malarzowi nie trudnoby było, dodać więcéj światła, jaskrawéj farby, aby malowidło dla nieświadomego rzeczy powabniejszém uczynić; tak właśnie i poecie tych fałszywych i kłamanych ozdób troskliwie unikać należy. »Rzeczywistość, są słowa Autora, jest nieraz poetyczniejszą od tak nazwanéj poezyi; a w wieku losów przeszłości Ukrainy jest więcéj poezyi, niż jéj objąć mogą całe pokolenia poetów.« I właśnie ta jest najcelniejsza zaleta powieści P. Grabowskiego, że się w niéj szczęśliwie odbija topograficzna i historyczna prawda z wielką rozwagą i pewnym taktem co do czasu zastósowana. Przywiodło autora do tego pożądanego rezultatu dojrzałe przekonanie, »że Ukraina w różnych epokach krewniła się bliżéj lub słabiéj z różnemi historycznemi i społecznemi wpływami, spotykającemi się właśnie z sobą na téj wschodniéj miedzy Europy.

Oby każdy autor z tak głęboką rozwagą i z tak umiejętném przysposobieniem do wykonania dzieła przystępował! zaiste mielibyśmy więcéj dzieł piętnem prawdziwego geniuszu oznaczonych. Chwilowe natchnienie, choć niepospolitego pisarza, nie zdoła zastąpić długiego i mozolnego zgłębienia przedmiotu i zbadania go w niedościgłych częstokroć tajniach. Jednostajne, nieprzejrzane ukraińskie stepy', gdzie wytężone oko samotnego wędrowca ginie w mglistéj oddali, porozrzucane liczne mogiły, są wprawdzie dla każdego przystępne; ale poetyczne życie ludu rozsianego po tych nieobejrzanych i cichych łanach przebrzmiało »tradycya milczy tu pod oraną mogiłą i rozwiała się po polu; przylgnęła tylko gdzie niegdzie do strzechy wieśniaka, lub w jakiém głuchém jarowém siole.« Nie każdemu uda się podsłuchać w poufałych rozhoworach z głębi serca płynące gadki. Do tego potrzeba szczęśliwéj chwili, któréj rozkazywać nie można. Nie wymusisz jéj gwałtem ani datkiem, bo do jéj wywołania umysłowego usposobienia potrzeba. Nie znajdziesz jéj wybrawszy się umyślnie z wędrownym koszturem w ręku, choćbyś wdłuż i wszerż zbiegł wszystkie zakąty. Grobowa ich cisza tajemniczém napełni cię uczuciem, ale zamilkła na wieki. Zwierzchnie tylko zwietrzałe znachodzić będziesz okruchy i żużle, gdy szczerolite szachty ukryte głęboko w wnętrznościach, niepostrzeżone ujdą twéj uwagi.

Ponieważ najgłówniejszą zaletą koliszczyzny P. Grabowskiego jest historyczna wierność, któréj w żadném podobném piśmie z tą pewnością i z tą konsekwencyą wywiedzionéj nie widzę; niech mi wolno będzie uczynić jednę uwagę, ściągającą się do pobudek tego krwawego dramatu, z których nie wszystkie, jak mi się zdaje, z istotnych i prawdziwych źródeł są wyprowadzone. Autor sądzi, że pospólstwo głupie i łatwowierne, jedynie przez nasłanych z za rzeki podżegaczy zapalone ślepym fanatyzmem, dopuściło się owych okropnych zbrodni i że owcześni panowie, z powodu ludzkiego i prawdziwie ojcowskiego obchodzenia się z poddanymi, nie byli celem jego nienawiści i dla tego też w tym zapewne zamiarze wystawił w małżonce Pana Weihera wzór pań prawdziwie patryarchalny i rozczulający. Nie wątpię ja o tém, że teraz takowe uczucia z rozmaitych przyczyn są powszechniejsze; nie wątpię, żeby się i wówczas w pojedyńczych osobach nie miały znajdować; ale ogół w czasach, o których tu mowa, nie był jeszcze na tém stanowisku. Niepowściągniona absolutność, opryskliwa zuchwałość w złotą wolność dufająca jednéj klassy, nie znała wtenczas żadnego hamulca; nie chciała więc i nie potrzebowała sobie jednać przychylności ludu, więcéj jeszcze niż w innych częściach kraju, dla różności rodu, religii i obyczajów wzgardzonego i znienawidzonego. Ta więc zobopólna nienawiść była owém tlejącém zarzewiem, którą lada poddmuch w jasne rozdymał płomienie. Jest to gorżka prawda, ale prawda koniecznie potrzebna: historya nie zna galantomii, umiejącéj najgrubsze przywary w pochlebne barwić wyrazy; jest ona raczéj szczerym przyjacielem, który otwarcie i bez ogródki prawdę, choć niekiedy cierpka, wytyka, nie w zamiarze, aby nas rozgniewać, rozdrażnić, lecz aby nas poprawić.

Do tego więc wyższego celu i tą prostą drogą powinny zmierzać wszystkie podobne pisma. Niech się zżymają zastarzałych przesądów obrońcy, niech krzyczą dobroduszni, ale powierzchowni ojczystéj sławy czciciele. Nic to nie szkodzi! I na Konarskiego krzyczano, że kruszy palladium złotéj wolności; miotano się i na Krasickiego, że ohydza naród u postronnych, wyjawiając całemu światu narodowe błędy. Ale wyznajmyż sami: źleż oni czynili? czyby powszechna reforma w sposobie myślenia nastąpić była mogła, gdyby oni nie byli wykryli zdrożności, na które wszyscy ślepymi byli? Dopiero pod pręgierzem stawione przywary ludzkie, nie znajdują już więcéj obrońców! Otoż jabym właśnie sądził, że zganiona przez P. Grabowskiego surowość innych pisarzy, szukających w uciemiężeniu politycznem i religijnem istotnych przyczyn klęsk ukraińskich, najzbawienniejsze wydała owoce; że się tym tylko sposobem niejeden w swym błędzie spostrzegł i jeszcze spostrzedz może.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*